

PAUza

Akademicka



Rok XII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 516

Kraków, 28 maja 2020

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

Wirus nasuwa myśli

MARCIN KULA

Jedni obserwują tego piekielnego wirusa wściekli, że nie mają nic do roboty, a inni – ledwo chodząc z przepracowania. Jedni siedzą zamknięci w parę osób w swoich mieszkaniach, inni stoją w kolejce do sklepu teoretycznie co dwa metry. Jedni chcą się jednoczyć ponad granicami narodowymi w zwalczaniu pandemii, inni wzmacniają granice. Sam chcę jednak poświęcić chwilę, by powiedzieć, że nawet bez tego wirusa zagadnienie dystansu pomiędzy ludźmi i grupami było jedną z podstawowych kwestii w dziejach ludzkości. Wielkim historycznym procesem, któremu podlegały kolejne pokolenia, był proces indywidualizacji jednostek. Dawniejsze epoki, a w gruncie rzeczy cała cywilizacja agrarna, cechowały się silnym kolektywizmem. Życie naszych przodków najczęściej przebiegało w małych społecznościach, gdzie z grubsza wszyscy się znali i wszyscy wiedzieli o wszystkich. Kościół i dom miejscowego potentata stanowiły ich centralne punkty. Prało się we wspólnym miejscu nad rzeką. Szło się razem na odpust. Plotkowało się przy jakichś robotach w zimie i piło w karczmie. Ogólnie dostępne studnie i wodopoje, z czasem także salony pralnicze już w świecie przemysłowym, bardzo długo były miejscami spotkań.

W dawniejszych warunkach mieszkało się najczęściej w parę osób w jednej izbie, za potrzebą chodziło się za stodołę. Wspólne izby i wyrka, nocniki używane przy nieuniknionej obecności innych, mycie się w prymitywnych warunkach, utrudniały nawet zachowanie tajemnicy naszego ciała, którą dziś najczęściej dzielimy się jedynie z wybraną (wybranym) – nawet jeśli, być może, jedynie czasowo wybraną (wybranym). Kiedyś nie dysponowano osobnymi talerzami i widelcami, które są narzędziami bardzo nas indywidualizującymi. Władza państwowa często nakładała podatki nie na konkretnych ludzi, lecz na społeczności. Klientelizm był zjawiskiem normalnym. Nawet okresowo zbiorowo się iskano. Towarzyszyła temu ideologia „zgoda buduje, niezgoda rujnuje” oraz wybaczenia sobie nawzajem przynajmniej przed śmiercią – nawet jeśli niekoniecznie wyciągano wnioski z przytoczonej maksymy.

Oczywiście, także w czasach tradycyjnej gromady występowało poczucie obcości w stosunku do pewnych ludzi czy grup: do trędowatych, do ludzi dotkniętych anomaliami fizycznymi, do heretyków, do kobiet uznanych za czarownice, do ludzi z jakichś powodów usuniętych poza grupę – ale raczej nie w ramach jej samej. Na sposób życia nakładały się działania podejmowane celowo – takie jak budowanie jedności wyznawców danej religii, całości cywilizacyjnej (koncepcja jedności świata chrześcijańskiego), czy zjednoczonego obszaru politycznego (wokół seniora, wokół króla, wokół cesarza).

Przemysłowa, kapitalistyczna modernizacja była i jest związana z indywidualizacją ludzi. Człowiek najczęściej rodzi się w szpitalu. Umiera na ogół wśród obcych, podczas gdy rodzina nieraz nawet boi się śmierci danej osoby w domu, wśród bliskich. W krajach rozwiniętych i w grupach znośnie sytuowanych izbę zastąpiło mieszkanie o paru pokojach. Wspólne wyrko zastąpiło łóżko – dziś indywidualne często nawet w wypadku małżonków.

Rodzina wsiadła do samochodu, który izoluje ją od innych. Gdy podczas któregoś z kolejnych kryzysów na Bliskim Wschodzie w Paryżu zabrakło benzyny i w weekend paryżanie znów, jak kiedyś, wyszli pospacerować po ulicach, wszyscy sobie jakby przypomnieli, że żyją między ludźmi, a nie tylko kontaktują się z innymi dla ułatwienia rozlicznych spraw. Obecnie może zepsucie się poczty elektronicznej, czego skądinąd trudno sobie życzyć, uświadomiłoby nam, że można kontaktować się bardziej bezpośrednio. Nowoczesne środki komunikacji masowej oraz łączności przecież tyleż łączą, ile faktycznie izolują ludzi między sobą. Będąc w kontakcie z całym światem, *de facto* pozostajemy sami przed telewizorem lub monitorem komputera. Te urządzenia mogą natomiast otwierać drogę powrotu do wspólnotowości, niekoniecznie przez nas wszystkich pożądaną. Możemy zostać objęci taką siecią kontroli, że ani przez chwilę nie będziemy sami. Ktoś będzie się nami opiekował na okrągło. Przyśle karetkę pogotowia w potrzebie, ale też będzie wiedział, gdzie jesteśmy i jaki list i do kogo wysłaliśmy.

*

Przy wszystkich koniecznych niuansach można powiedzieć, że plemienność koliduje z wymogami współczesnego życia, wobec którego stajemy indywidualnie. Gdy wielu z nas znalazło się – praktycznie bez pomocy – wobec niemałych trudności, szybko odczuło większą potrzebę znalezienia się pod paternalistycznym parasolem i solidarności z innymi. Nie byli zadowoleni z odpowiedzi prezydenta Bronisława Komorowskiego, udzielonej w 2015 r. jakiemuś młodemu człowiekowi, który zapytał, jak ma kupić mieszkanie jego siostra, która po trzech latach szukania pracy znalazła ją, ale z wynagrodzeniem 2 tys. Prezydent (w kampanii wyborczej!) odpowiedział, by siostra zmieniła pracę i wzięła kredyt. Niezależnie od tego, czy pytanie było ustawką, także niezależnie od tego, że odpowiedź niekoniecznie wyrażała aż program Bronisława Komorowskiego, stała się pewnym symbolem. Komorowski „podłożył się”. Ludzie nie tego chcieli, więc gdy sprawa została rozdmuchana, konkurencja polityczna skorzystała – znacząco akcentując hasło solidarności.

Co ważniejsze, także w bardziej znaczących dla świata zjawiskach dziejów najnowszych wyraziła się niechęć ludzi do indywidualizacji. Zarówno faszyzm, jak stalinowski komunizm były próbą zawrócenia tej tendencji dziejowej. W tych ustrojach człowiek miał istnieć jako element konstrukcji przypominającej plaster miodu – nawet jeśli nie zawsze znajdował miód w komórkach. Nawet bez takiego nacisku na wspólnotowość, jak w wymienionych strukturach, w podstawowych ramach naszego życia pojawiło się wiele instytucji mających zrównoważyć indywidualizm. Zjednoczenie w ramach narodów miało zastąpić rozsypane ramy feudalne. Powszechna nauca, Kościół (zwłaszcza dawniej), rozliczne organizacje, ruchy polityczne, nieraz populizm, współczesne państwo, nawet różne posunięcia zmieniające załogi fabryk w kolektyw, sport, imprezy masowe miały i mają zastąpić nam sytuację, którą David



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków



► Riesman nazwał *The Lonely crowd*. Na polski przetłumaczono ten tytuł dosłownie jako *Samotny tłum*. Intencją autora chyba lepiej oddawałoby tłumaczenie *Tłum samotnych*.

*

No i przyszedł koronawirus. Ten nasz towarzysz podróży oddziałuje dwoiście. Prezydent Trump mówi z grubsza „America first”, krytykuje Chiny i odwraca się od WHO. Premier Morawiecki akcentuje potrzebę solidarności w walce z epidemią, a jednocześnie deklaruje, że w godzinie próby sprawdziły się państwa narodowe, nie zaś Unia. Deklaruje, że chciałby, ażeby maseczki na usta były wytwarzane przez polskie firmy – co nie brzmi specjalnie solidarnościowo w wymiarze europejskim. Na niższych szczeblach organizacji społecznej obserwuje się sporo zbliżenia między ludźmi. Pojawiają się oferty pomocy w potrzebie, zbiorowe koncerty artystów, grających w swoich mieszkaniach, a łączących się na

ekranie... Wyczuwa się jakieś trudno definiowalne zbliżenie ludzi w dotykającym wszystkich kłopotcie... Takie reakcje chyba jednak maleją w miarę trwania sytuacji, do której się coraz bardziej przyzwyczajamy i zarazem coraz bardziej się nią męczymy. Adekwatniejszy w skali międzynarodowej może okazać się rysunek flagi olimpijskiej z kołami oddalonymi zamiast przecinającymi się i – w skali indywidualnej – rysunek przedstawiający logo „Solidarności”, gdzie idące litery (ludzie!) stoją w odległości dwóch metrów jeden od drugiego. Pozostaje mieć nadzieję, że – po pierwsze – wirus sobie pójdzie. Po drugie i trzecie – że nie wywoła nadmiernie destrukcyjnych ruchów upośledzonych grup zdesperowanych oraz niedobrej reakcji ze strony czynników dysponujących siłą jeszcze wolną od wirusów. Po czwarte – że nie spowoduje w społeczeństwie dążenia do autokuracji w postaci polepszenia głębi dla nacjonalizmów, populizmów, autorytaryzmów. Za dużo tych marzeń? A niby dlaczego? W sam raz.

MARCIN KULA

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie
Członek korespondent PAU

Wybory czy wotum zaufania?

W cieniu aktualnej dyskusji o wyborach prezydenckich odbywają się inne wybory, także ważne dla pracowników uczelni – wybory rektorów i osób pełniących inne kierownicze funkcje w uczelniach (o ile JM Rektor na wybory tych ostatnich przyzwoli). Wybory... to słowo sugeruje, że opowiadamy się za jedną z kilku opcji. Wymóg taki został sformalizowany w przypadku wyborów dyrektorów instytutów PAN, odbywających się w drodze konkursu. Zgodnie z odpowiednim rozporządzeniem Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, rada naukowa instytutu „podejmuje uchwałę o unieważnieniu konkursu, jeżeli [...] warunki formalne zostały spełnione przez mniej niż dwóch kandydatów”. Czyli, aby dyrektor mógł zostać wybrany, potrzebne są co najmniej dwie ważne kandydatury. Życie wygrywa z wszelkimi przepisami, więc nie są rzadkie przypadki podstawiania przez pretendenta do stanowiska kontrkandydata na zasadzie „jelenia do odstrzału”. Jednak w tych nielicznych przypadkach, w których byłem członkiem komisji konkursowych, nie zetknąłem się z taką sytuacją. Mnie się taka „wymuszona demokracja” w sumie podoba. Bo inną ewentualnością jest głosowanie na jedynego słusznego kandydata. Z pewnością zdarzają się sytuacje, gdy w istocie jest jeden sensowny kandydat i nikt inny nie staje do wyborów przez uznanie i szacunek dla jedynego kandydata. Zwyczajem jest, że rektor czy dziekan ubiegający się o drugą kadencję nie ma kontrkandydata – chyba że jego pierwsza kadencja budziła poważne zastrzeżenia. Obawiam się jednak, że w skali wielu uczelni, wielu wydziałów i insty-

tutów w całym kraju motywacje innych potencjalnych kandydatów, niedecydujących się na stanięcie do wyborów, są bardziej zróżnicowane. Jedną z nich jest niewątpliwie obawa przegranej (nie jest to chyba najistotniejszy powód), choć przegrana w demokratycznych wyborach nie jest żadną ujmą. Często główny kandydat skłania kontrkandydata do wycofania się, bo obawia się przegranej lub nie chce wygrać niezbyt dużą różnicą głosów – choć co jest lepsze: wygrać z przeciwnikiem (nawet nie miażdżącą przewagą głosów), niż być jedynym kandydatem i wygrać z... nicością?

Prawo i tradycja nie zabraniają w uczelniach wyborów w sytuacji, gdy zgłoszony jest tylko jeden kandydat. Czy jednak taką procedurę powinno się nazywać „wyborami”? Nie znajduję logicznego uzasadnienia dla wykoślawiania oryginalnego znaczenia tego słowa. Może właściwiej byłby mówić o udzieleniu wotum zaufania, tak jak mówi się w przypadku zatwierdzenia rządu przez parlament? Tam też nie ma żadnego wyboru w stosunku do przedstawionej propozycji, tylko albo zgoda na nią, albo nie.

Jakkolwiek nie ma w stosunku do procedur uczelnianych wymogu ustawowego zgłoszenia się więcej niż jednego kandydata, wybory wydają mi się z wielu względów lepszą opcją niż wotum zaufania, zwłaszcza w sytuacji obowiązywania Ustawy 2.0, która przyznaje rektorowi bardzo duże uprawnienia. Ważne jest więc szczególnie, by pełnia władzy dostała się w jak najwłaściwsze ręce. Propagujmy jak najszerzej demokrację, byśmy kiedyś nie musieli o niej zapomnieć.

GRZEGORZ BARTOSZ

Uniwersytet Łódzki
Uniwersytet Rzeszowski

514 numer „PAUzy Akademickiej”, poświęcony setnej rocznicy urodzin Jana Pawła II, wywołał odzew naszych Czytelników. Prof. Andrzej Górski nadesłał nam mało znany list Jana Pawła II do uczestników Konferencji omawiającej konflikt interesów w nauce i medycynie (5–6 IV 2002), gdzie Papież definiuje bardzo jasno swoje stanowisko w sprawach nauki i etyki. Otrzymaliśmy również komplet „raportów” o sytuacji w Polsce przygotowywanych dla Papieża przez grupę krakowskich uczonych, o której pisał w 514 numerze ks. prof. Michał Heller. Z okazji rocznicy ukazał się też piękny list Benedykta XVI. Wszystkie te dokumenty udostępniamy poniżej jako linki.

Redakcja

List Jana Pawła II

Raporty

List Ojca Świętego Benedykta XVI